OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 28 Sierpnia / 9 Września 1868 roku.

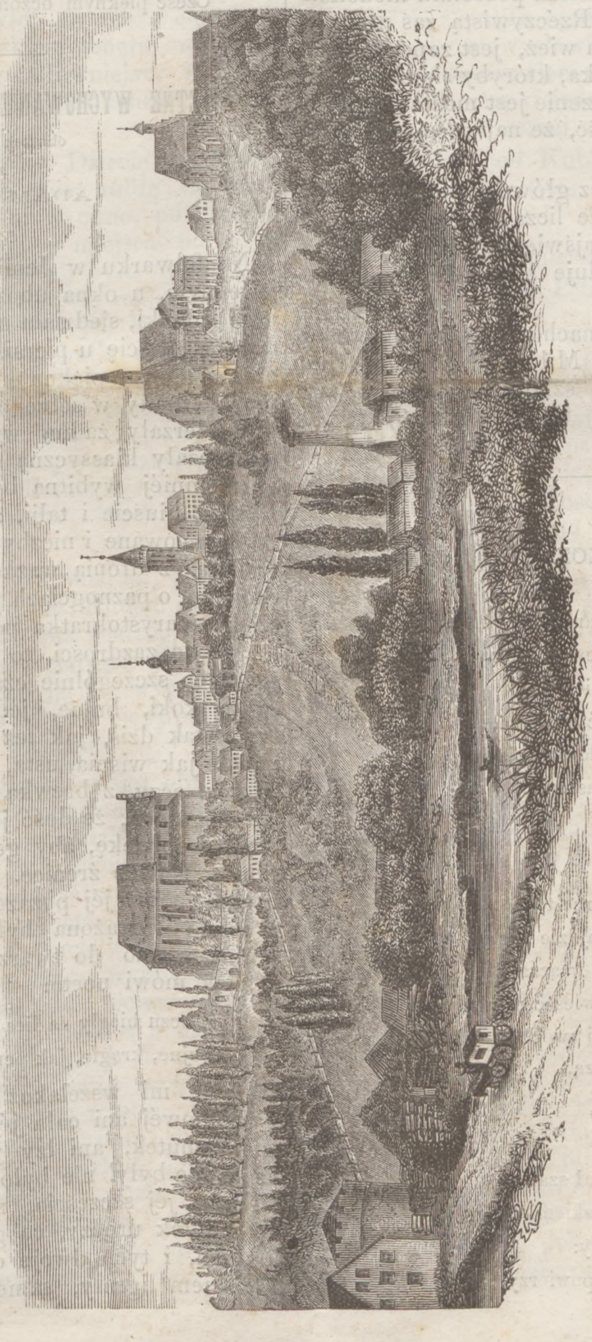
Nr 36. Cena w Warszawie 20 kop. miesięcznie.—Cena na prowincji w opaskach 75 kop. w kopertach Rs. 1. kwartalnie. Redakcja i Ekspedycja Główna przy rogu ulicy Leszno i Solnéj pod Nr. 715. Rok IV.

CHEŁMNO.

Chełmno, dawniej z łacińskiego Culmem zwane, należy do najstarożytniejszych miast pruskich. Wiadomo, że Konrad książe Mazowiecki, nie mogąc sam stawić czoła Litwinom, Prusakom, i Jadźwingom, którzy naówczas byli jeszcze poganami, sprowadził z Niemiec kawalerów Panny Marji, inaczej Krzyżakami zwanych, którym nadał r. 1228 Chełmno wraz z ziemią na własność, do czasu zupełnego nawrócenia pogan.

Chełmno, przechodząc pod panowaniem Krzyżaków przez rozmaite koleje, jakim ówczesne miasta wszystkie niemal podlegały, to palone, to odbudowywane, w połowie XIV wieku na najwyższym stopniu potęgi i zamożności stanęło, a to tak dalece, że się liczyło do główniejszych miast związku hanzeatyckiego [1]). Nietylko krajowcy, ale osiadali tu anglicy, duńczycy i hollendrzy, którzy okazałe budowali domy.

Nie dość tego, Chełmno było przez czas



Chełmno.

długi stolicą siedmnastu krzyżackich mistrzów prowincjonalnych, dopóki wielki mistrz zakonu nie przeniósł swéj stolicy z Niemiec do Malborga, a prowincjonalni mistrze zostali zniesieni. Lecz słuszniej jeszcze szczycił się ten gród starożytny posiadaniem udzielnego prawa, zwanego chełmińskiem, które, rozciągnięte na całe Prussy zostało nawet wprowadzone do niektórych miast Mazowsza i Podlasia.

Od czasów reformacji, gród ten poczyna wyludniać się i chylić do upadku, dopóki wojny szwedzkie ostatecznego ciosu mu nie zadały. Chełmno stało się kupą gruzów. Dopiero po przyłączeniu do Pruss, dzięki długoletniemu pokojowi, znowu wzrastać poczęło.

Obecnie Chełmno jest miastem powiatowem, liczącem 7,000 mieszkańców, po największéj części rzymsko-katolickiego wyznania, aczkolwiek większa połowa ludności składa się z niemców. Zbudowane w pięknem położeniu na prawym brzegu Wisły, posiada wcale piekne gmachy oraz trzy kościoły klasztory, nie licząc dawniejszych, które al-

([1]) Hanza, związek handlowy miast niemieckich, lub zamieszkałych przez kupców niemców, w wiekach średnich.

bo na inny użytek obrócone zostały, albo stoją w ruinach. Ze świeckich gmachów zastanawiają ogromne kadeckie koszary i ratusz w stylu florenckim zbudowany.

Z pomiędzy kosciołów, pierwsze miejsce trzyma katedralny, zbudowany w pierwszej połowie trzynastego wieku. Kościół ten, o wspaniałej facjacie, w stylu gotyckim wybudowany, tem się szczególniej odznacza, że po obu stronach głównego wejścia posiada dwie wieże, z których jedna całkiem, a druga do połowy jest niedokończoną. Do tej ostatniej wieży przywiązane jest następujące podanie: Gdy budowniczy nie mógł jéj wykończyć na czas oznaczony, przeto nawet i w niedziele naglił robotników do pracy. Wieża wprawdzie stanęła, ale gdy się lud tłumnie na nabożeństwo zgromadził, wszczęła się straszna burza, wśród której zjawił się anioł z mieczem ognistym, i zapalił wieżę dopiero co skończoną. Wzięto się do odbudowania, ale bezskutecznie, bo piorun strzaskał, co ręka ludzka wzniosła. Odtąd wieża pozostała niedokończoną. Tak lud mniema. Rzeczywistą zaś przyczyną niedokończenia owych wież, jest zapewne brak funduszów, brak człowieka, któryby się chciał tem zająć. To ostatnie tłumaczenie jest może zbyt prozaiczne, ale tę ma wartość, że najwięcej zbliża się do prawdy.

W kościele tym, oprócz głównego ołtarza, znajduje się 15 bocznych, nie licząc dwóch pięknych kaplic Bożego Ciała i Najświętszej Panny. W bibljotece kościelnej znajduje się wiele dzieł ciekawych.

Oprócz powyższych gmachów, w Chełmnie znajdują się: szpital Siostr Miłosierdzia, seminarjum i gimnazjum katolickie, szkoła miejska wyższa i drukarnia. *M. K.*

DO WIESZCZA.

Burzliwych uczuć kochanku hoży
Gdy w twojem oku dziewica złoży
Lube anielskie spojrzenie;
Zaciśnij serce, nie puść do łona,
To płomień piekła żądło skorpiana
To przyszłych bólów nasienie.

* * *

Nie tkliwe serce nie serce twoje
Przeciw uczuciom wynajdzie zbroję
Gdy w duszę twoję jad wsącza;
Miękiego serca strzeż wieszczu młody
Nim dwie różane twojéj swobody
Wrzące uczucia poplączą.

* * *

Młodzieńczéj duszy zapał szalony
Zagra twym myslom boskiemi tony
Harmonja dzikiéj osnowy:
Serce uczucia wichrom powierzy
Zapłoni, zawre, żarem uderzy
W ten świat ciemny— dziki—nowy.

* * *

Lecz myśl niewinna, wrząca swobodna
Zawsze wesoła, zawsze pogodna,
Jak odblask jasnéj przezroczy:
Bo tylko oko tkliwéj dziewicy
Zanurzy duszę twoje w tęsknicy,
Na serce okowy wtłoczy..

* * *

Bo jeżli w lubem, w kochanem oku
Tkliwość dostrzeżesz w uczuć natłoku
Spocznij tam duszą w żałobie;
Ona ci szczęście niebo odsłoni,
Ona twéj chwały łezkę uroni,
Cześć pięknym oczom, cześć tobie!

Juliusz Gumowski.

ŚWIETNE WYCHOWANIE I SZKOŁA NIESZCZĘŚCIA.

obrazek obyczajowy.

PRZEZ

ADAMA PŁUGA.

Na folwarku w Jemiołce, o szarem poobiedziu jesiennym, u okna ubożuchnéj, ale bardzo schludnéj izdebki, siedziała młoda ekonomowa, karmiąc drobne dziecię u piersi. A była to, w całem znaczeniu słowa, piękna kobieta. Lica jéj wprawdzie nic nie miały w sobie pańskiego, wypieszczonego, nie uderzały żadną wyższą dystynkcyą, ale się odznaczały klassyczną doskonałością formy, która niemniéj wybitną była i w całéj jéj postaci, w szyi, biuście i talji, a nawet w rękach, co, lubo spracowane i niezbyt białe, były wszakże niewielkie, z dłonią wązką, z palcami jakby wytoczonemi, o paznogciach podłużnych, jakichby i największa arystokratka pozazdrościć jéj mogła. Już to, co do zazdrości, to godneby jéj były, w dzisiejszych szczególnie czasach, gdy tak drogo płacą się koki, bujne, jedwabiste, krucze jéj włosy; a tak dziś, jak też i zawsze, drobne, pełne, kraśne jak wiśnia, usta, oraz wielkie, czarne, błyszczące oczy, z brewką jak malowaną, z rzęsami, tak bogatemi, że dość jéj było trochę tylko przymróżyć powiekę, aby geste ich fręzle całkiem zasłoniły lśniące źrenice. Ba, mogłyby się znaleść i takie, coby jéj pozazdrościły nawet i smutku, w jakim pogrążona była natenczas, bo jéj było z nim bardzo do twarzy, nawet i łez nareszcie, co, jak mówi poeta:

Z oczu biegły na lica i spadały lśniące,
Bujne, krągłe, jak perły z brylantów kapiące;

wierzcie mi wszelakoż na słowo, że u biednéj ekonomowéj ani cała jéj piękność, ani jéj wdzięczny smutek, ani łzy jéj perłowe do zazdrości wcale nie były! nie było do zazdrości nawet i największe jéj szczęścia, najpiękniejsza jéj chluba: ten aniołek uroczy, co go z miłością przygarnęła do łona, i tych dwoje dziewczątek, co u nóg jéj z kołkiem igrały, same rzeźwe i *wesolutkie jak*

prawdziwe *młode koteczki*, a piękne, jak najwierniejsze miniaturki matczyne....

Lecz zacznijmy z początku. Owóż ekonomowa, siedząc nieopodal od okna, karmiła swe niemowlę, w którego różowe liczko wpatrywała się z rzewną zadumą i miłością; ale raz w raz smutne spojrzenie odrywając od niego, przez mgławe szyby wyglądała w świat Boży, gdzie mroczyła słota jesienna i wicher coraz srożéj buszował. Ilekroć zaś jéj oczy z téj wycieczki wracały, łzy hojne przynosiły na rzęsach,—rzekłbyś, że na prawdę były za oknem i deszcz w nie bił ze szronem,—i jak gdyby po mgle i chłodzie, pragnąc światła i ciepła, co rychléj biegły znowu do niemowlęcia, lub do owych dziewcząteк, co wesołe, szczęśliwe, bawiły się sobie swobodnie, nie przeczuwając, jak ciężka troska, jak okropna boleść i trwoga zalegały serce ich matki! Niestety! snadź, iż z téj strony blask słoneczny pociechy zagasł dla niéj w mroku żałobnym; bo oczy jeszcze smutniéj potoczyły, łzy z nich biegły jeszcze obficiéj, z twarzy widać było, że dusza coraz to głębiéj w zamyśleniu gorzkiem tonęła, nim jaki ruch w dziedzińcu, albo gwałtowniejszy huk wichru nie ocucił jéj nagle, i wzrok uznów za okno nie ściągnął.

Tak ubiegło blizko godziny. Dziecię nakarmione usnęło; ona je wszakże wciąż tuliła do piersi, to w twarzyczkę jego, to w okno, po dawnemu patrząc na przemian, i z miejsca poruszyć się nie mogąc; czy że pilno jéj było ujrzeć wyglądanego, czy że, swe niemowlę mając u łona, czuła jakąś ulgę w ciężkiéj boleści. W końcu jednak powstała; pomalutku, cichutko dziecinkę do kolebki odniosła, ostróżnym pocałunkiem uścisnęła czyste jéj czoło, na które łza gorąca upadła, i chustkę zarzuciwszy sobie na głowę, spiesznym krokiem wyszła w dziedziniec, a z dziedzińca za wrota, gdzie stanąwszy w błotnistéj ulicy, oczyma w dal pobiegła po drodze, słuch wytężyła ciekawie.

Dobry kwadrans stała tak biedna, drżąc na słocie i chłodzie, a próżno nasłuchując i patrząc, i w uszach rozlegał się tylko huk wiatru, w oczach mżyła się tylko coraz gęstsza szaruga. Westchnienie głuchym jękiem z piersi jéj się wyrwało, załamała ręce boleśnie i głowę pod ciężarem troski schyliwszy, powróciła do dworku.

Naprzeciw drzwi nad oknem, wisiał obraz Boga-Rodzicy, z którym się pomimowoli wzrok każdego spotykał, kto tylko wchodził w progi téj izby. To też i spłakane oczy ekonomowéj najpierwéj nań upadły i chwilę zatrzymały się na nim, chwilę tylko króciuchną, ale i téj dość było, aby dusza jéj, w jednym rozpaczliwym rzucie ku Niebu, całe swe udręczenie Bogu wypowiedziała. I wnet na jéj obliczu wyraz bólu niewymównego i nieledwie rozpaczy znikł, i ustąpił miejsca rezygnacji spokojnéj, popieściła swoje dziewczątka, dała im elementarz do ręki, sama wzięła jakąś robotę, a zasiadłszy na dawném miejscu, i dzieci uczyć, i szyć razem dla nich myślała. Lecz zaledwie zrobiła kilka ściegów igiełką, poprawiła kilka omyłek w syllabizowaniu córeczki, już znowu wzrok jéj pobiegł w dziedziniec, robota na kolana upadła, łokcie na oknie, czoło oparło się na dłoniach i smutne zamyślenie owładnęło ją całkowicie, tak że już nawet nie słyszała dźwięcznego głosu swych uczennic kochanych, co chwilę zapytujących, czy też dobrze czytają? Nareszcie pociągnięta za suknię, ocknęła się z zadumy; ale zaledwie powróciła się ku dziatwie, gdy nagle głuchy tętet zagrzmiał w podwórku, i wnet ustał przed gankiem, pod który snadź ktoś szybko zajechał. Ekonomowa drgnęła wszystkiem ciałem gwałtownie, prędko wyjrzała w okno i załamała ręce w przerażeniu najwyższém. Porwała się z siedzenia, lecz się nogi pod nią zachwiały, że się bezwładnie usunęła na krzesło; zbladła tylko i osłupiałe oczy w drzwiach wchodzących utkwiła. Rozwarły się z impetem, a w nich ukazał się słuszny mężczyzna, odziany w płaszcz i czapką na głowie.

— Jest Kublicki?—groźno zawołał, nawet czapki nie zdjąwszy.

Twarz kobiety, przed małą chwilą obleczona trupią bladością, w jedno mgnienie oblała się żywym szkarłatem, wszystkie w niéj nerwy zadrżały, oczy się zapaliły ogniem ponurym, i z wyrazem wzgardy niewysłowionéj uderzyły w lice natręta. I ten poczerwieniał podobnież i zaiskrzył dziko źrenicą, czapki jednak uchylił, i ze stłumioną passyą, nieco ciszéj znowu zagadnął.

— Czy powrócił Kublicki?

— Jeszcze nie;—była odpowiedź, wyrzeczona głosem złamanym.

—Ślicznie mi się spisuje! wierny sługa, nie ma co mówić!—sarknął przybylec z pełnym złości uśmiechem.

— O! i pewno że wierny!—podchwyciła żywo ekonomowa:—dziesięć lat już służy w tym skarbie, a nigdy złego słowa nie słyszał od jaśnie wielmożnego dziedzica, ani od jaśnie pani, mojéj dobrodziejki a siostry pańskiéj, którzy przed wyjazdem swym za granicę polecili go panu, jako najpoczciwszego z officjalistów swoich. Za takiego i pan go miałeś do niedawnego czasu, coraz nowe świadcząc mu łaski, od których się musiał wypraszać, chcąc uniknąć ludzkiéj zawiści i posądzeń niesłusznych. I dziś on się w niczem nie zmienił; wierny i gorliwy jak wprzódy, może nawet jeszcze gorliwszy i baczniejszy na wszystko, ale panu Michałowi już w niczem nie potrafi dogodzić! Od miesiąca już przeszło pan Michał coś upatrzył do niego i dręczy go, prześladuje, napada; a za co, to już chyba Jaśnie wielmożny dziedzic sam rozsądzi, jak da Bóg wróci.

— Doprawdy?!—buchnął sarkastycznym śmiechem pan Michał.—Więc, jak widzę, godny małżonek jejmości chce mi przed moim szwagrem niby proces wytoczyć? No, no! jaż go nauczę!—wołał zapalając się srodze;—on myśli, że szpiegowstwem, plotkarstwem i pochlebstwem potrafi swojemu państwu oczy zamydlić, że mnie nawet podle oczerni; ale za wysoko mierzy chudzina! Szwagier mój łatwowierny, to prawda, i może dałby wywieść się w pole; ale ja tu nie malowany, ja tu pełnomocny, jak o tém wiecie, i swéj mocy użyć potrafię! Mnie szpiegów i pochlebców nie trzeba, ja niczem otumanić się nie dam, i nie pozwolę na to, aby mi się officjaliści wałęsali samopas po jarmarkach i stypach, dozwalając rozkradać i marnować dobro mojéj rodziny.

— Jeśli się zmarnowało co z tego dobra,—

odparła ekonomowa;—mąż mój temu wcale nie winien. Nie z własnéj to on woli, tylko z polecenia pana majora, w samą siejbę, Pan Bóg wie po co, na dwa tygodnie do Odessy musiał wyjechać. Pan major sam tu rządził za niego; więc jeśli źle obsiano, to nie on za to odpowie.

I znowu wyraz wzgardy i gniewu wyrył się w pięknych licach biednéj kobiety. Pan Michał aż się zatrząsł ze złości, a krew mu omal nie wytrysnęła z twarzy.

— Ja nie o siejbie mówię!—krzyknął z gwałtownością niezmierną: teraz mi ukradziono z lasu dwa dęby!

— Można to nam z pensyi wytrącić,—rzekła na to Kublicka;—choć kradzież popełniono jeszcze onegdaj, a mąż mój u samegoż pana Michała wyprosił się na trzy dni, żeby rodzonego brata pochować. Że się spóźnił dzień jeden, maż to być taką winą okropną? Może spotkała go jaka przygoda; może podróż tego przyczyną?

— Może zapił się nieboraczysko z żalu po miłym bracie?!—dorzucił nielitościwy Michał z dziką ironją.

— Jak pan śmiesz?!—wybuchnęła Kublicka, porywając się z miejsca, straszna i piękna w oburzeniu swojem szlachetném.—Jak pan śmiesz? powtórzyła z krzykiem rozpacznym trzęsącemi się usty, zaciskając pięści gwałtownie, i—głosu jéj zabrakło, łzy rzuciły się z oczu, jęk straszny wyrwał się z piersi. Twarz płomienną w dłoniach ukryła, i przez chwilę ze łkaniem słowa wyrzec nie mogła; lecz się wkrótce opanowała, i ze wzniesioném czołem, choć z płaczem niepowstrzymanym zawołała z mocą przerażającą:

— Niech na pana spadną łzy moje krwawe! niech Bóg z pana Sam pomstę weźmie za wszystkie bezeceństwa, do jakich cię pchnęła grzeszna rozpusta. Niech Sam panu odpłaci za nieszczęście nasze i naszych dzieci! Ja przeklinam pana! przeklinam!

I łkając, do alkierza spiesznie odeszła. Dzieweczki, które dotąd zbiedzone tuliły się w kąciku, z przestrachem spoglądając na gościa, z głośnym płaczem wybiegły za nią i pan Michał sam został. Przez chwilę stał jak wryty, blady, zmięszany, kręcąc tylko wąsy sumiaste i w ziemię wzrok ponury utkwiwszy; potém jakby wyrzut sumienia, jakby uczucie żalu w twarzy mu się odbiło; spojrzał ku drzwiom alkierza, chwilę jeszcze pomyślał, i zawołał łagodnie:

— Pani Kublicka! Pani Kublicka!

Odpowiedzi żadnéj nie było; on też milczał i słuchał, brwi ściągnąwszy z niecierpliwością, a po małym przestanku odezwał się raz jeszcze:

— Czegóż to się pani tak gniewa? Zły byłem, bo też i miałem racje po onegdajszéj scenie; ale skończmy tę wojnę, proponuję raz jeszcze; wszak wiesz Pani o co nam idzie...

Drzwi alkierza, dotąd otwarte, zatrzasły się nagle z impetem i zasuwka ostro zgrzytnęła. Michał zżymał się, syknął, wściekłość znów go przejęła, twarz płomieniem oblała, oczy ogniem zażegła i szatańskim śmiechem usta skrzywiła.—Zobaczymy!—pomruknął, groźnie głową potrząsłszy, wypadł gniewny do sieni, grzmotnął drzwiami, aż szyby brzękły, i zawołał na czeladź głosem takim piorunującym, że go i w alkierzu słyszano.

— Jak ekonom powróci, niechaj natychmiast stawi mi się we dworze! rozumiecie, natychmiast!

Wskoczył do krytego kabryoletu co nań czekał przed gankiem, i odjechał, zemsty spragniony. A Kublicka, przy swojém łóżku na kolana upadłszy, wyciągnęła ramiona przed obrazem Matki Najświętszéj, i łzami się rzewnie modliła, błagając ją o radę, o ratunek i siłę. Rady było jéj trzeba, jak się w obec męża zachować, przed którym od miesiąca już przeszło ukrywała ciężką swą boleść, trując się nią powoli; ratunku było trzeba, bo widziała blizką już chwilę, w któréj z dziećmi drobnemi bez dachu się ujrzy nieboga; siły było jéj trzeba, bo pomimo wiary głębokiéj w miłosierdzie Boże bez granic, czuła, że zanim ono się zjawi, wiele troski i biedy rychło zaznać jéj przyjdzie z łaski pana Michała!

Ale czas już wyjaśnić stosunek wprowadzonych tu osób, którego tajemnicy nie każdy się może domyśla.

Pan Michał był rodzonym bratem pani Czorsztyńskiéj, a więc szwagrem jéj męża, właściciela znacznéj fortuny, którą ten mu w dozór powierzył, sam z żoną za granicę udając się w początkach wiosny.

Kublicka była wychowanką pani Czorsztyńskiéj, córką wysłużonych officjalistów, osierociałą w dzieciństwie. Wychowanie jéj wprawdzie było garderobiane, lecz garderobianki pani Czorsztyńskiéj słynęły z obyczajów najlepszych i z ukształcenia dobrze obmyślanego; układano je bowiem nie tylko do grzebienia, igły i praski, lecz i umysł polerowano, i do gospodarskich zajęć niewieścich sposobiono bardzo starannie. Mając lat ośmnaście, wyszła za jednego z officjalistów państwa Czorsztyńskich, u których też i jego ojciec umarł na służbie, równie jak jéj rodzice; wyszła z przywiązania szczerego, i kochana wzajem poczciwie z drogim swoim Ignacym, młodym i hożym jak ona, ukształconym niezgorzéj i szlachetnym jak rzadko, przeżyła siedem latek w szczęściu najzupełniejszém, bo w domu panowała miłość i zgoda, bo ślicznemi dziatkami Bóg jéj związek ubłogosławił, a u zacnych państwa Czorsztyńskich dobre sługi nie mogły na ciężary służebnictwa się skarżyć.

Tak było aż do wiosny owego roku, w którym się nasza powieść zaczyna, kiedy Państwo Czorsztyńscy, udając się na wojaż, oddali swoje dobra w zarząd Michała; pomysł to był wcale nieosobliwy, któremu się wielce dziwiono, wiedząc, że Pan Michał dobrze był znany, tak swéj siostrze jak i szwagrowi, z wielu czynów nader nagannych, i w ogóle z charakteru bardzo nie zaletnego.

Był to człowiek gwałtowny, pełen namiętności najnikczemniejszych, zepsuty do ostatka obozowem życiem swawolnem, w którem do czterdziestego roku piękną ojcowiznę strwonił haniebnie na karty i najdziksze szaleństwa, wreszcie dymissyę dostawszy, bez dachu i sposobu do życia, puścił się na włóczęgę po świecie z koczem, czwórką gniadoszów, furmanem i lokajem, od komina się do komina przenosząc, i gwałtem narzucając się ludziom bezczelnie. Wszędzie było go pełno: gdzie kontrakta, gdzie jarmark, gdzie wybory obywatelskie, gdzie wesele czy pogrzeb, polowanie czy imieniny, on się znaleźć musiał koniecznie, grał, pił, umizgał się, końmi frymarczył, służył za sekundanta, albo sam się rąbał i strzelał,—bo gdzie tylko się zjawił,

burda była nieunikniona. Ma się rozumieć, że do siostry często zaglądał, bo choć *honorowych długów* nie płacił, choć i konie i służbę, zarówno jak i siebie, trzymał na cudzym koszcie; zawsze jednak grosz był potrzebny, a szkatuła Pani Czorsztyńskiej była jego kassą jedyną. Frymark i szulerka wspomagały go wprawdzie, nie mniéj jak i pożyczki na wieczne nieoddanie u *kochanych przyjaciół*, co się bali awanturnika; ale dla marnotrwcy było tego za mało.

Owóż taki to ptaszek objął w zarząd mienie Czorsztyńskich, bo siostra chciała bratu dopomódz, a mąż ją tak szanował i kochał, że jéj wola była mu prawem; nadto zaś myślał sobie nieborak, że tytuł i energia Pana Michała włość w rygorze utrzyma, a brak doświadczenia gospodarskiego i wybryki jego zbyteczne poczciwi officyaliści starannością swoją naprawią. Zresztą pełnomocnictwo, jakiem się Pan Michał przechwalał, było bardzo ograniczoném, główne bowiem źródło dochodów bardzo mocno obwarowano: pszenicę sprzedawano w Odessie, gdzie był pełnomocny na to komisant; cukrowarnią rządził dyrektor; a tak pierwszy, jak drugi, wprost do Państwa Czorsztyńskich cały wniosek mieli odsyłać. Reszta intrat z kilku folwarków winna była wpływać do głównéj kassy, zostającéj pod kluczem kassyera generalnego, który summę stale assygnowaną na potrzeby dworu płacił co kwartał, obok paru tysięcy rubli rocznego honoraryum Pana Majora.

Ściśle zatem biorąc, Pan Michał był po prostu *maniakiem*, czyli straszydłem grochowem; dano mu synekorę, chleb łaskawy, i tylko; on wszelakoż wcale inaczéj o urzędzie swym trzymał, miał się za figurę nie lada, ledwie nie za dziedzica, i zaraz po swojemu wziął się do dzieła. Zaraz po wyjeździe Państwa Czorsztyńskich wydał rozkaz officyalistom, aby wszelkie intraty wnosili nie do kassyera, tylko prosto do niego; ale żaden go nie usłuchał, zasłaniając się inną instrukcyą, od dziedzica pozostawioną. Zaczął więc im doskwierać na różny sposób i mitrężyć we wszystkiem, tak, że jeden nawet służbę porzucił; ale inni trwali nieporuszeni, wytrzymując po bohatérsku wszelkie szturmy Pana Michała, który był niewyczerpanym w strategicznych fortelach.

Jeden tylko Kublicki od napaści długo był wolny, to jest od napaści tego rodzaju; owszem nawet od razu zaufanie zupełne i względy szczególniejsze zyskał u namiestnika, który go najwyraźniéj pragnął skaptować. Lecz, niestety, główną przyczyną téj niezwykłéj benewolencyi, która aż żenowała officyalistę, była śliczna Pani Kublicka! Ta od bardzo już dawna, bo jeszcze za panieńskich swych czasów, wpadła była w oko nieboga staremu rozpustnikowi, który ją w różny sposób nagabał, odpychany zawszę ze wzgardą. Nie zaniechał jednak pięknych zamiarów; wytrwał w nich ze stałością, godną zacniejszéj sprawy, i teraz je do skutku doprowadzić umyślił.

Wszystko zdawało się mu sprzyjać: Stały pobyt w Hreczynie, od którego ten folwark, gdzie Kubliccy mieszkali, był tylko o wiorst parę odległy; łatwość wyszukania pretekstu choćby do najczęstszego zaglądania na ekonomię; domniemane prawo zwierzchnictwa, prawo łaski albo niełaski względem dependenta swojego, a ztąd niema rachuba na pewną pobłażliwość równie męża jak żony; i wreszcie przypuszczenie nikczemne, że ta, która będąc dziewczęciem, strzegła swojéj cnoty surowo, dzisiaj, jako mężatka, łatwo dą się ugłaskać! Ale zawiódł się srodze! wszystkie podłe jego zabiegi nie przydały się na nic; Kublicka, któréj nadskakiwał uparcie, traktowała go jak i dawniéj, z zimną pogardą; mąż jéj, którego obsypywał swemi łaskami, uchylał się od nich starannie, i jak ognia strzegł się familjarności, pociągany do niéj przemocą.

Tak minęło kilka miesięcy, i nareszcie Pan Michał ostatniego chwycił się środka. Pokazał poufnie list otrzymany z Odessy, w którym go zawiadamiano, że komisant Czorsztyńskich dopuścił się strasznéj szalbierki, bo przez zręczne konszachty urwał kilka tysięcy rubli z summy wziętéj ostatnią razą za pszenicę z dóbr Hręczyńskich, —i zaklął go na wszystko, aby, jeśli na prawdę tak jest wiernym swym państwu, jak ci o nim trzymają, natychmiast do Odessy się udał, i rzecz całą zbadał na miejscu. Kublicki się zrazu wypraszał, radził, żeby lepiéj pan major sam tę sprawę rozpatrzył, lub ją głównemu kassyerowi poruczył, tłumaczył się nareszcie, że niemoże rzucić folwarku podczas siejby jesiennéj, przy któréj niema kim się wyręczyć; ale kiedy pan major każdy jego argument zbił nierównie silniejszym, kiedy w końcu się zaklął, że sam osobiście w Jemiołce będzie siejby doglądał, musiał nieboraczysko uledz, i rad nie rad w drogę wyruszył, mimo wszystkich nalegań żony, żeby polecenia tego nie słuchał.

Ma się rozumieć, że cała ta historya była podłą mistyfikacyą, na to, tylko obrachowaną, aby Kublickiego z domu usunąć. Szczęście jeszcze, że ten ostatni umiał bardzo grzecznie wziąść się do rzeczy, i nie dał fatalnego rozgłosu niegodziwéj potwarzy, bo inaczéj mógłby na siebie ściągnąć nadal ciężką odpowiedzialność. Postępował ostrożnie, ale w drażliwości sumienia chcąc się najdowodniéj przeświadczyć o mniemanem szalbierstwie, musiał na to stracić ze dwa tygodnie, nim się dokumentnie przekonał, że komisant był czysty a Czorsztyńscy krzywdy nie mieli. Nie przypuszczając, że go pan Michał wyprowadził w pole zdradziecko, w najpodlejszych widokach, jakkolwiek żal mu było drogiego czasu, wracał do domu, ciesząc się, że dobro jego dziedzica, i honor obwinionego cały.

A tymczasem pan major, nie mniéj szczerze od niego dotrzymując zobowiązania, tak gorliwie siejby pilnował, że co dzień przez półtora tygodnia po dwa albo trzy razy do Jemiołki zaglądał. Nie dotrzymał jednak do końca, i na trzy dni przed powrotem officyalisty zwinął chorągiewkę nieborak i bywać na folwarku zaprzestał. Dla czego? to nam chyba pani Kublicka mogłaby opowiedzieć dokładnie; lecz ta nawet mężowi tajemnicy téj nie odkryła. Musiał jednak nasz Michał ponieść klęskę haniebną w bohatérskiéj swojéj wyprawie, bo Kublicki, wróciwszy, doznał odeń przyjęcia, jakiego się nigdy nie mógł spodziewać. Nikczemny wpadł nań z góry od razu z wymówkami najostrzejszemi, zarzucając mu opieszałość, niedbalstwo, a nawet (któżby temu dał wiarę?) nawet udział w szalbierstwie, współkę z komisantem w kradzieży!

Kublicki do żywego dotknięty tak haniebnym zarzutem, postawił się śmiało i godnie, ostrzegając pana Michała, żeby swoją miarką ludzi nie mierzył, czem go w taką wściekłość wprowadził, że

aż piana z ust mu leciała z pogróżkami najstraszniejszemi, i kto wie, do czegoby doszło nareszcie, gdyby rozsądny sługa w porę nie usunął się z placu. (*D. c. n.*)

PODRÓŻ NAD WARTĘ.

(*Ciąg dalszy,*—patrz N. 35-ty).

Długo się jeszcze w podobny sposób sprzeczali, a ja, pomimo chęci wsparcia argumentów konduktora, musiałem nic nie mówić, bo nieznośna buda rzucała nami jak piłką. Raz siedziałem wysoko, drugi raz na dole; to rzucałem się w bok, to znów sam odbierałem łokciami boksy i szturchańce. Zaciąłem więc tylko zęby i litując się nad brakiem oświaty pocztyliona, stałem się, że tak powiem, automatem, i z zazdrością spoglądałem na swobodnie kręcących się w polu chłopków, na pasterzy, na śpiewające wesołą nutą piosnki dziewoje,—aż nareszcie uczułem że jedziemy po bruku. Wyglądam oknem, patrzę—chwała tobie Panie, to miasto *Pabijanice*. No, pomyślałem, przecież człek sobie trochę odpocznie, odetchnie, wyprostuje kości, a może przy zmianie koni i lepsze, wygodniejsze mi się miejsce dostanie. Jak tylko stanęliśmy przed pocztą, pobiegłem zaraz do będącej na przeciw cukierni i z potęgowanem pragnieniem wołałem o szklankę lemoniady. Odpowiedziano mi że nie ma.

— To choć czystej wody z cukrem.

— Zabrakło.

— Może pan masz kufelek piwa?

— Przecież tu cukiernia a nie bawaryja.

— To proszę już o szklankę herbaty.

— Zaraz—tylko samowar nastawię.

— A cóż to za cukiernia, u Pana Boga, kiedy w niej nic nie można dostać!

— Owszem panie, jest wszystko. Mam bułki, obwarzanki, wódkę, serdelki, kiełbaski, salces....

Nie słuchając dłużej tej rzeźniczej litanji wybiegłem na ulicę jak bomba, a napotkawszy czyjąś służącą niosącą wodę, przy jej grzeczności napiłem się tyle ilem tylko chciał, i jakoś powoli, powoli, zacząłem przychodzić do siebie, rozglądać się w około, niby ten ogłuszony ptak na pustyni, którego rzeźwią chłodne krople rosy. Nad wszelkie spodziewanie spotkałem się też tutaj z dawnym mym szkolnym kolegą, który nadarzył mi się w samą porę i był mi szczególniej na rękę, albowiem przy jego pomocy obejrzałem nie tylko miasto i kościół parafialny, ale i nie jednej ciekawej dowiedziałem się rzeczy, przypomniałem sobie słodkie szkolne czasy, i jakoś zapomniałem na chwilę o mojej jeździe i torturach.

Pabijanice czyli *Pebijanice*, leżą nad rzeką Dobrynką wpadającą do Neru. Jak niesie miejscowa tradycja, dawniej była to wieś zwana Słupiec, leżąca wśród lasów i łęgów, która z czasem od bawienia się książąt w tych stronach na łowach nazwę *Pobawijanice* przybrała. Lecz pisane stare dzieje nasze powiadają co innego. Najpoważniejszy nasz kronikarz Długosz mówi: że w XI-ym wieku stał na tem miejscu zamek, który z okoliczną włością stanowił hrabstwo czyli kasztelanią zwaną *Chropi* do ziemi Sieradzkiej należącą.

Kasztelania *Chropi*, około roku 1084 nadaną została na wieczne czasy Kapitule Krakowskiej. W XV-ym wieku u Długosza, już miejsce to nazywa się *Pabijanice*, lecz nie wiadomo czy było miastem lub nie. Dopiero za Zygmunta Augusta, znajdujemy urzędowy tego dowód. Król ten, widząc że miasto ma znaczną liczbę rozmaitych rzemieślników, ustanowił przywilejem z roku 1555 cechy, dla ich własnej korzyści i publicznego porządku. W przywileju tym pomiędzy różnemi przepisami dla czeladzi i majstrów, jest także zakaz, żeby w odległości mili jednej dokoła, żaden szewc, kuśmierz, kowal, sukiennik i łaciarz, nie ważył się po wsiach zatrudniać rzemiosłem, pod utratą wyrobionych towarów, które magistrat ma zabierać.

Dawniej Pabijanice musiały być miastem zamożnem i ludnem; dziś zaś liczba jego mieszkańców nie dochodzi nawet 5,000, którzy po większej części trudnią się rękodzielnictwem tkackiem. Są tu także fabryki wyrobów wełnianych i półwełnianych, dwie fabryki wyrobów bawełnianych, lnianych i pół-jedwabnych tkanin. Na szczególniejszą uwagę zasługują: kościół katolicki parafijalny, stary zamek i niedawno wybudowany kościół ewangelicki. Pierwszy ma być fundowany r. 1595 przez kanoników Katedry Krakowskiej. Styl gotycki, grube mury i wyniosła wieża, odznaczają zewnątrz tę wspaniałą świątynię. Wewnątrz zaś znajdują się godne widzenia w prezbiterjum dwa wielkie obrazy, przedstawiające męczeństwo S. Wojciecha i S. Stanisława, pochodzące z 1637 roku. Musiało to być coś bardzo pięknego, ale nieszczęście mieć chciało że jakiś bazgracz wziął się w 1700 r. do ich odnowienia, i dziś wyglądają zupełnie jak karykatura. Tym sposobem bardzo wiele dzieł pędzla i dłuta, schowanych do kościołów niby do arki, przez niedozór, nieznajomość albo niedbalstwo nasze, niszczeje i marnuje się.

Na samym środku głównej ulicy, niedaleko mostku nad zieloną łączką, stoi starożytny Zamek. Z pewnego rodzaju uszanowaniem zbliżałem się do niego jak karzeł do potężnego olbrzyma, i rad w duszy, że mogę jeszcze widzieć, te co raz rzadsze w kraju naszym mury, stanąłem i spojrzałem. I zamek swemi czarnemi, okopciałemi spojrzał na mnie oczyma, aż jakaś woń starości, jakaś powaga owiała mnie dokoła. O początkach tego zamku trudno coś pewnego powiedzieć, nie mając na to ścisłych danych. Wiadomo tylko, że tego rodzaju gmachy w stylu starowłoskim stawiano u nas od połowy XV do połowy XVI wieku, a różnice między nimi zachodzące nader są nieznaczne. Dobrze jednak musiano nad nim czuwać, czy też sam oparł się wszelkim pokuszeniom wandalizmu, dość, ze dziś jeszcze jest zamieszkanym i stoi w wybornym stanie.

Na dłuższe obserwacje i uwagi nie starczyło mi już czasu, zwłaszcza że trąbka ozwała się na poczcie; więc pożegnawszy raz jeszcze okiem kościół, zamek i całą dość schludną mieścinę, pobiegłem szybko do kuryjerki. Ale zawistna Nemezis i tutaj uwzięła się na mnie. Pojazdy mające nas odwieźć, śmiało można było zaliczyć do archeologicznych pomników przeszłości, tak były stare, popsute i szanownym kurzem siwizny pokryte. Dobre jest stare wino, stary miód i stary człowiek, ale stary pojazd — to rzecz nieznośna. Chcąc przecież jakie takie wybrać

sobie miejsce, otwieram do pierwszego, przyglądam się—pełno w nim passażerów. Otwieram do drugiego—i tu tak samo.

— A gdzież ja wsiądę? zapytałem stojącego przed sienią poczchaltera.

— Jest, jest dla pana miejsce. Bo to widzisz pan, tu siedzą damy, tu mężczyzni w wieku. Ponieważ, jak pan widzi, słońce niedługo zajdzie i zrobi się naturalnie chłodno, a ci państwo się obawiają, więc mam tu jeszcze jedno prześliczne miejsce... Niech tylko pan siada.

— Gdzie?

— Przy pocztylionie, na koziołku.

— Żartujesz pan....

— Niech pan siada, bo już czas jechać.

— Owszem, wsiądę ale w stosownėm miejscu.

— Nie spodziewałem się, żebyś pan nie miał względu ani na płeć piękną, ani na wiek.

— Nie potrzebuję od pana nauki, ale proszę o należne mi miejsce. Pan zaś powinieneś wiedzieć, że passażerowie kiedy płacą, to płacą aby siedzieć w kuryjerce a nie na kuryjerce.

— Siadaj pan, bo każę odjechać.

— Możesz pan to zrobić, ale w takim razie księga zażaleń rozstrzygnie nasz spór.

Na takie dictum, jakiś jegomość z głową cukru, z paczkami świec i herbaty wychodzi ze środka pojazdu, i nic nie mówiąc siada na koziołku.

— Ależ — odezwałem się do niego, niech pan tam nie siada, bo będzie panu niewygodnie. Poczchalter obowiązany jest dać dodatek.

— E, nie—widzisz pan... bo to... ot tak... ja tutaj... *nie tego*... to mi tu dobrze będzie...

A, jeżeli pan *nie tego* to inna rzecz. Ale ja *tego*... I to mówiąc usiadłem sobie na jego miejscu.

Przeładowany furgon, przy pomocy ludzi, biedne koniska zaledwie ruszyć zdołały, ciągnąc i siląc się ze wszystkich sił, że aż żal było patrzeć na taką jazdę. To też posuwaliśmy się powoli, noga za nogą, jakby dla igraszki, jakby na kpiny. Chłop strzela, Pan Bóg kule nosi, mówi dawne nasze przysłowie. Myślałem że najlepiéj zrobię jadąc pocztą, tymczasem grubo się omyliłem. I kto wié, czy nie lepiéj wychodzą ci co podróżują pieszo lub żydowską bryką. Być zresztą może że to tylko w tych stronach tak się dzieje. Może gdzieindziéj lepiéj i porządniéj ekspedjują passażera, ale cóż robić... fakta, niestety fakta zmuszają mnie do takiego wyznania, za które winni niechaj się rumienią.

Miałem już chętkę wyskoczyć na ziemię, i wmówiwszy w siebie, że mi to dla agitacyi potrzebne, chciałem biedz naprzód choćby z jaką milę, choćby ze dwie, byle tylko swobodnie,i nie w tym dusznym namiocie, ale nie podobna! Siedziałem między niewiastami, a lada poruszenie moje, lada krok rozpaczy, pociągał za sobą łamanie krenolin, gniecenie sukien lub deptanie nóżek, co znów wywoływałoby namnie nieopisaną burzę, którą nie wiem czy taki nawet Jan Valjean Victora Hugo znieśćby potrafił. Konie nareszcie ustały. Wypadek ten zdarzył się przed jakąś karczmą, gdzie muzyka, tańce i śpiewy dolatywały nas zdaleka, aż ziemia drżała, aż okna się trzęsły; widocznie odprawiano tam wesele lub chrzciny. Nim się konie napoją i odetchną trochę, ja tymczasem pobiegłem przyjrzeć się coby to była za przyczyna takiéj hulanki i radości, zwłaszcza w dzień powszedni, kiedy obsiane pola i gospodarstwo same wołają do roboty i pracy. W karczmie pełno było ludzi. Na stole, zwiesiwszy nogi, skrzypiciel i basista od ucha wyrzynali skocznego oberka, a roztańczeni kmotrowie, tupiąc nogami wykrzykiwali:

Grajże grajku, będziesz w niebie,
A basista koło ciebie! hu! ha!

Tak mężczyzni jak i kobiéty dobrze już mieli w głowach, sądząc z tego jak niejedna para potaczała się w kąty, wnosząc z krzyku, z czerwonych twarzy i zamglonych oczu. Dzieci na pół nagie, w króciótkich tylko koszulach, kręciły się z kieliszkami w ręku, biorąc zły przykład od rodziców i starszych, nasiąkając nałogiem, który w późniejszém życiu truje im spokój i szczęście, do nędzy ich doprowadza i robi z ludzi zwierzęta. W odosobnieniu na ławie przy piecu, człowiek jakiś podejrzanéj postaci prawił coś do ucha kiwającemu się gospodarzowi, machał przed nim rękami i wymownie na swoją stronę przeciągał. To pokątny doradca—istny obraz szatana kusiciela.

— A co to za święto u was, moi kochani, zapytałem pierwszego lepszego zmęczonego dansera.

— Kaj tam święto paniczku! to krzciny!

— Jak to, i chrzciny w karczmie obchodzicie?

— Albo co z tego? toć wprzód byliśwa w kościele.

— Moi kochani, kościół i karczma to dwie przeciwne rzeczy. Tam człowiek modli się o wszystko dobre do Boga, tu pijaństwo, zgorszenie, przekleństwo i wszystko złe. Tameście to małe dzieciątko zapisali Bogu, tutaj zapisujecie je czartu. I czy się to tak godzi?

— Ej, ono i tak djabelskie...

— Co też mówicie!...

— Juści prawda. Patrz-no pan jak to krzyczy i krzyczy, o—hajwo tam w drugiéj izbie; a jak się narodziło, było tak spokojne kieby Jezusek. Oho, znamy się... to podrzutek...

— Jaki podrzutek?

— Jaki?—od złego ducha. Tamto pierwsze psi naród zabrał, a tego skrzota i strzygę podłożył. Nie pilnowała się matka; trza było wziąć święconéj krédy, gromnicy...

— Co wy też gadacie, wstydzcie się mój gospodarzu, żeby w takie głupstwa wierzyć i niewinnie dziecko jakimś djabelskiém nazywać. Płacze biedna dziecina, bo jakże ma nie płakać, widząc jak jéj prawie świętość z czoła ścieracie, widząc jak niedobrzy rodzice jeszcze w powijakach nauczają je złego, a może i wódką już trują, chcąc mu prawie gwałtem Pana Boga z serca wygonić.

— Jużci na krzcinach musi się dziecko napić, żeby je kolka nie kłuła.

— Ba, otóż widzicie, że wódka temu wszystkiemu winna. Nie jeden stary usta po niéj wykrzywia, a chcielibyście żeby taka kruszyna nic nie mówiła. Toć to takie delikatne jak kwiatek. I wy macie sumienie zaledwie po chrzcie poić tego aniołka obrzydłą gorzałką — i kiedy jeszcze nie mogąc jéj znieść płacze, powiadacie że to djabelskie, że podrzutek.

— No, prawda to prawda, ale kaj to tam komu do głowy przyjdzie.

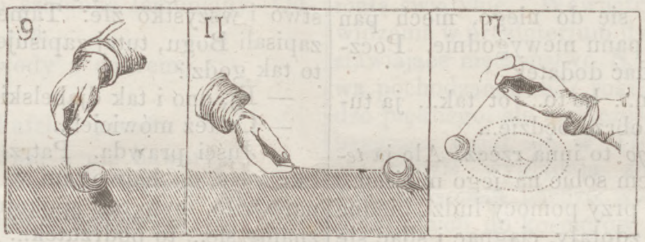
— Oj, przyjdzie do głowy, przyjdzie, tylko jéj nie zalewajcie tym przeklętym trunkiem: Nie lepiéj to było zabawić się w domu, w chałupie, poprosić kilku porządnych gospodarzy na pogawędkę, żeby to było i do Boga i do ludzi; a pieniądze które trwonicie na wódkę nie lepiéj to było schować i obrócić na coś lepszego, naprzykład na jaką pożyteczną

książkę, z której bycie się dowiedzieli, że nie ma żadnych *strzyg*, *podrzutków* i t. p., lecz że przyczyną wszystkiego złego jest ciemnota, głupota i pijaństwo.

Wieśniacy coraz gęściéj zaczęli mnie otaczać i przysłuchiwać się mojéj rozmowie; a choć uważałem że niektórzy ledwie już stali na nogach, widziałem przecież kilku, którzy dość jeszcze trzeźwo spoglądali na świat, a nawet z pewném słuchali mnie zajęciem. Chętnie byłbym się dłużéj między nimi został, ale konie już odpoczęły i chcąc nie chcąc trzeba było znów zamknąć się w budzie jak w szpitalnych noszach, trzeba było poświęcić pożytek konieczności i—jechać, oddychając afrykańską atmosferą, w czasie kiedy na dworze balsamiczna woń zbóż się rozlewała.

Prześlicznie było dokoła. Zapadłe słońce jakby gasnącym jeszcze ogniskiem, jakby na dobranoc złociło purpurowym obłokiem niebios, trwałą obiecując pogodę. Kiedy ze wschodu czarny zawój nocy rozpinał na firmamencie ciemną, ponurą powłokę, i lubą jakąś wilgocią i kroplistą rosą ożywiał zmęczone kwiatki i kleił powieki ludziom, których trud dzienny uznoił pracą i potem. Pastuszki, gdzieś w dali, nucąc sobie śpiewki, pędzili swe trzódy do domu i rozmawiali się z kukającą kukułką brzękaniem groszami i wzywaniem do przepowiedni weselnych, sądząc że ile razy na wezwanie kukułka zakuka, za tyle lat słuchający stanie na ślubnym kobiercu. Kaczki na błotach kwaczą, czajki kihiczą, dzięcioły kują po drzewach, a drobna ptaszyna gdzieniegdzie odezwie się w gniazdku, zaśpiewa wieczorną piosnkę, zakwili, jeszcze raz się ozwie—i cicho, cicho wszędzie jak w jakiej świątyni. Patrzałem przez okno długo, długo i dumałem i wzdychałem nie raz niewytłomaczonem jakiemś uczuciem, aż nagle, niespodziewanie, gdzieś w pobliżu uderzył dzwon na *Anioł Pański*.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)



PIERWSZY DAR FROEBLA.

Juz w 32-m Numerze Opiekuna Domowego czytelnicy nasi zostali mniej więcej obeznani tak z nieocenioną metodą Froebla, jak i z jego darami, które będąc z pozoru nic nieznaczącą zabawką, w rzeczy jednak samej rozwijają umysł, kształcą wyobraźnię, wdrażają do ładu i porządku.

Obecnie z przyjemnością podzielić się możemy z czytelnikami wiadomością, iż, dzięki staraniom Redakcji Przeglądu Tygodniowego, a właściwie mówiąc, samego redaktora pana Wiślickiego,— pierwszy dar w tych dniach do publicznego oddany został użytku. Składa się on z pudełka z sześcioma piłeczkami różnokolorowemi, oraz opisu 40 gier w piłkę.

Pomieniony opis mieści się w broszurce o 16 stronicach, z tablicą litografowaną, zawierającą 30 figur, wyobrażających rozmaite położenia piłki, uwiązanej na sznurku. Tablica ta służy do objaśnienia pierwszej części broszurki, przeznaczonej głównie dla matek, mających 2 lub 3 letnie dzieci. Za te zabawki powinny być wdzięczne Froeblowi zarówno matki, jak i dzieci. Pierwsze dla tego, że tu znajdą najłatwiejszy sposób zabawienia swych, nie zawsze spokojnych dziatek, drugie, że tak szczerze o ich rozrywkach pamiętano. Jeżeli jednak mówimy *najłatwiejszy sposób zabawienia dzieci*, nie idzie za tem, aby matki miały przy zabawkach tego rodzaju z założonemi siedzieć rękami.... Bynajmniej, na świecie nic się nie dzieje bez pracy, a tembardziej jeżeli idzie o kształcenie dziecka.

Matka przy grze w piłkę, nie tylko ma zważać na sposób, jakim się dziecko bawi, ale nadto, przy każdem wybitniejszem poruszeniu piłki powinna pszyśpiewywać, zachowując odpowiednią nutę. Śpiewki te, znajdujące się w broszurce, o której mowa, odznaczają się wielką prostotą, a lubo nie szukać w nich ani wielkiego sensu, ani tem bardziej wytworności, wybornie przecież odpowiadają swemu celowi. Na próbę przytoczymy kilka:

Tak np. do figury pierwszej, na naszym rysunku kędy piłka silniej zostaje rzuconą, stosuje się następny wierszyk:

,,Piłko moja! piłko moja!
Będziesz mi żwawo skakała!
Hej że—ha! hej że ha!
Piłeczko moja!!"

Do figury 2-ej, kędy piłka toczy się po stole poziomo, umieszczony jest następny wierszyk:

,,Leci piłka! leci!
Chwytajcież ją dzieci!"

Do figury 3-ciej, gdzie piłce nadany jest ruch obrotowy, zastosowany jest następny czworowiersz:

,,Hej! hej! piłeczko
Kręć się w kółeczko!
W lewo, w prawo
Kręć się żwawo!
Kręć się piłeczko!...

W drugiej części broszurki mieści się wspomniony powyżej opis czterdziestu gier, odznaczający się wielkim doborem i rozmaitością, i przeznaczony dla dzieci starszych, mogących się już obejść bez matczynego dozoru. Obok znanych gier w Dołki, Palanta, Wolanta i t. p. znanych powszechnie, znajdujemy tu wiele innych gier w piłkę, zupełnie jak się zdaje u nas nieupowszechnionych, a pod każdym względem godnych poznania. Jedne z nich bowiem wybornej dla dziatwy dostarczają rozrywki, inne obok tego, jako wymagające szybkich ruchów i wielkiej zręczności, ważne są zarówno pod względem hygienicznym, jak i estetycznym. Dziecko biegle grające w piłkę, wykonywające najtrudniejsze z nią ćwiczenia, w broszurce powyżej opisane, otrząśnie się prędko z właściwej swemu wiekowi niezgrabności, nabędzie zręcznych ruchów i manier, a co najważniejsza zakwitnie zdrowiem i prawdziwie młodzieńczą swobodą. Zresztą i umysł nie pozostanie tu bezczynnym, owszem, w miarę tego jak się ciało rozwijać będzie, to i umysł wyższego nabierze polotu.

Tak więc pierwszy podarek Froeblowski, jako rzetelną korzyść dziatkom naszym przynoszący, nie wątpim, że i w naszych rodzinach, równe jak zagranicą, słuszne znajdzie uznanie. Ogólny tytuł broszurki jest następujący: ,,Sztuka wychowawczego bawienia dzieci, podług metody Froebla, twórcy ogródków dziecinnych w Niemczech. Dar pierwszy (pudełko z sześcioma piłeczkami) z dodaniem 40-stu gier w piłkę dla zabawy dzieci i młodzieży." Cena 50 kop.

Mścisław Kamiński.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—Redaktor, **Adam Mieczyński.**